

Michał Kotliński

Święty od ćpunów



Michał Kotliński

Święty od ćpunów



Copyright © Michał Kotliński, 2013
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2013

Wydanie I
Pruszków 2013

ISBN 978-83-62247-23-3

Zdjęcie na skrzydełku: archiwum Autora

Święty od ćpunów

Marzena zatracala się.

Rzeczywistość jednej z tych niepewnych dzielnic Warszawy, zalana czernią nocy, ograniczała się do ledwo widzialnych trzech niekończących się ścian i wylotu, wyjścia poza.

Ale to „poza” zdawało się czymś absolutnie abstrakcyjnym.

Marzena, mimo usilnych prób, nie mogła sobie przypomnieć żadnego „poza”.

Nawet na Sądzie Ostatecznym nie potrafiłaby powiedzieć, od jak dawna na wpół klęczała w ani na moment nie gęstniejącym przez permanentny deszcz błocie.

W leżącym obok niej plastikowym pojemniku oprócz wody wymieszanej z błotem znajdowały się jedyne przedmioty, które rejestrowała jej świadomość, to jest jedyne rzeczy we wszechświecie: dwie mocno sfatygowane strzykawki i trzy niepełne fiolki jasnozielonej syntetycznej substancji, znanej jako valkyr.

Valkyr. Tego słowa i odpowiadającej mu rzeczy trzymała się niczym tonący brzytwy, przy czym – żeby pozostać przy tejże przenośni – brzytwa nieubłaganie ciągnęła ją w dół.

Poza valkyrem nie pamiętała już niczego. Nie pamiętała twarzy człowieka, od którego go kupiła. Całe życie przeszłe rozmywało się w jej umyśle niczym słowo napisane patykiem na wodzie.

Myśli, nie przerywając snu, łagodnie krążyły po przestrzeniach umysłu.

Ledwo pamiętała swoje imię.

Snu?

Ktoś powiedział, że życie jest snem; Sean Penn w „21 gramów” nawet podrywał na podobną sentencję Naomi Watts, ale u Marzeny jawa była od snu nieodróżnialna.

Leżała w błotnistym zaułku, odkąd pamiętała. Czy to jej się śniło, czy też uprzednie życie było snem? Czy to ona komuś się śniła? A może oba te doświadczenia były marą, a jeśli tak, to co było rzeczywiste? Czy kiedykolwiek choćby otarła się o tę całą rzeczywistość? *Déjà vu?* Sen? Życie?

Nie czuła ciała.

Im mocniej padało, tym ona zapadała się głębiej w ową studnię świadomości, której dna nie było widać. Studnia nie miała drabiny, po której można by wspiąć się z powrotem, i w niektórych sekundach czy też godzinach przebłysków Marzenę to przerażało; od czego jednak był słodziutki valkyr?

W rogu zaułka, poza zasięgiem wszechświata Marzeny, nieruchomy ludzki kształt, oparty o ścianę, zaciągał się papierosem.

W sterylnym, pedantycznie wręcz czystym i uporządkowanym biurze do zajęcia się Marzeną, do „uratowania” jej oddelegowany został przystojny, posłuszny i próżny młody, acz doświadczony Mariusz Bodlewicz.

Kiedy wymyty, wypchniony i stylowo ubrany Mariusz Bodlewicz pojawił się w uliczce Marzeny, pierwsze słowa, jakie wypowiedział do leżącej w błocie, z twarzą i ubraniem umazanymi błotokrwią dziewczyny brzmiały:

– Boże, jaka ty jesteś piękna!...

Marzena spojrzała półżywym wzrokiem na „doktora” i już było wiadomo, że jest jego.

Niewyraźny kształt w rogu zaułka zachnął się, z niesmakiem pokręcił głową i powoli oddalił się poza.

1. *Boga nie ma.*
2. *Zresztą i tak Bóg jest głupi.*

Philip K. Dick, „Valis”

1

Miłość dosłownie rozsadzała Anitę.

W czwartkowy wieczór po upiększeniu się przed lustrem przed wyjściem z mieszkania połknęła nielegalną małą tabletkę z czerwonym serduszkciem. Dojechała tramwajem do centrum, zamówiła drinka w przytulnym staromodnym pubie, usiadła przy stoliku w kącie, aby móc obserwować lokal, zapaliła cienkiego mentolowego papierosa i z wolna zaczęła to czuć.

Za coś takiego warto było płacić krajową dniówkę.

Smakowite spowolnienie czasu. Niesamowicie ciepłe kolory rzeczywistości. Sącząca się z głośników muzyka („It Could Be Sweet” Portishead) delikatnie, pieśczośliwie głaszcząca opony mózgowie. I to ciepło... Rozpływające się po całym ciele i przechodzące dalej, ku otoczeniu... Miłość w czystej postaci, jak to nazywała. Miłość do rzeczy. Miłość do ludzi. Miłość do świata.

Siedzący dwa stoliki dalej dwaj nieco starsi faceci, twardo pijący wódkę pod papierosy i zażarcie dyskutujący, rzucający kurwami na prawo i lewo, wydali jej się tak męscy, że zrobiło jej się mokro; zmieniła punkt widzenia, łyknęła alkoholu i szeroko się uśmiechnęła, mrużąc szkliste oczy. Barmanka, z uśmiechem dyskutująca z siedzącym przy kontuarze garniturem, miała krótkie czarne włosy, delikatną drobną twarzyczkę, szczupłą figurę... Bezgłośnie „uuu...” wydobyło się z ust Anity.

Już chciała podejść i zagaić, ale w tej samej chwili znów zauważyła mężczyznę, któremu jeszcze cztery minuty wcześniej z uwagą się przyglądała; przyплыw czystej ekstatycznej miłości nieco ją jednak zdekoncentrował.

Siedział zgarbiony, oparty o blat stolika w najciemniejszym kącie sali, przed kuflem piwa, i palił papierosa za papierosem, wpatrzony w martwy punkt z miną... znudzenia ostatecznego? nihilizmu

maniakalnego? Dosłownie zlewał się z otoczeniem. Wyglądał jak – poeta? aktor teatralny?

Dyskretnie poprawiła się w kroku, wzięła drinka i dosiadła się.

Był wysoki i chudziutki, miał potwornie bladą cerę, kruczoczarne, niesamowicie seksowne włosy, pociągłą twarz z wyrazistym nosem oraz kocią bródką; i wręcz płonące oczy. Czarna koszula, na niej czarna marynarka. Małutki srebrny kolczyk u szczytu prawego ucha. Anicie od samej zmysłowej rozkoszy patrzenia zakręciło się w głowie.

Kruk siedział w snobującym się na awangardę niewielkim pubie przy Chmielnej, pałac skręta za skrętem i wpatrując się w reprodukcję „Krzyku” na czarnej jak smoła ścianie.

Nie wiedział, od jak dawna tak siedzi.

Ale jakie to miało znaczenie? Jakie to ma znaczenie, gdy masz cały czas na ziemi i żadnego, choćby najmniejszego – celu? marzenia? sensu? Gdy całym sensem jest sensimilla?

Ludzie od zawsze marzyli o nieśmiertelności. Wampiry. Kruk fuknął. Wampiry to najniezwyklejsze istoty wszechświata, mógł pomyśleć; już upadłe anioły miały więcej... No właśnie – czego? Zabawy? Sensu istnienia? Kurwa, szczęścia?

Do stolika w kącie sali powolnym, tanecznym krokiem podeszło i dosiadło się pachnące dyskretnie i kusząco smukłą dziewczę dobre przed trzydziestką. Długie tlenione włosy, zadbane ciemna cera, pastelowy ubiór, naćpane ekstazą oczy. Dłonią z długimi różowawymi tipsami postawiła przed sobą szklankę z różowawym drinkiem, założyła długą nogę na długą nogę, spojrzała na srebrny zegarek na lewym przegubie, i patrząc na mężczyznę narkogresznym wzrokiem, z uśmiechem założyła włosy za ucho.

– Masz nagrzane ekstazą, niezwykle szare oczy – powiedział Kruk niskim głosem, zaciągając się papierosem, który pachniał jak marihuana.

Anitę przeszły dreszcz. Przygryzła wargi, spuściła wstydliwie

wzrok i zaczęła powoli jeździć tipsem po brzegu szklanki z alkoholem.

– Dziękuję. Ale moje oczy są piwne – niemal wyszeptła śpiewnie. – Studiowałam przez dwa lata anglistykę; w staroangielskiej tradycji literackiej szare oczy...

– ...były uważane za synonim piękna – dokończył Kruk, patrząc na włosy dziewczyny.

Anita była mokrusieńka. Powoli oblizała wargi.

– Masz może papierosa? – zapytała leniwie, patrząc na Kruka tak, jakby pytała: „Spuścisz mi się do buzi?”.

Z braku lepszego zajęcia zrobił to w pokoju hotelowym godzinę później.

Święty od ćpunów

4

A. i E.

60

Igła

78

Projekt okładki:
Anna M. Koźbiel

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-23-3

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl